Nr. 6 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 marca 1930** **Rok 52**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					▌15	■	■	15▌				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 46 z roku 1929, zawiera: Czesław Odrowąż-Pieniążek: W cesarstwie Menelika. — Uchwalenie i zatwierdzenie nowego statutu Centralnego Związku Stow. Łowieckich. — Statut Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. — Janusz Domaniewski: Kilka słów o jeleniu w Tatrach. — Kazimierz Świderski: Na marginesie sprawozdania z prób polowań Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich 1929 r. (Nr. 39 „Łowca Polskiego“). — Stanisław Nowakowski: Łowiectwo w dziale leśnym P. W. K. — Korespondencja „Łowca Polskiego“. — Czasy ochronne. — Kronika myśliwska.— Wiadomości bieżące. — Strzelnictwo. — Wiadomości handlowe.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 47 zawiera: Czesław Odrowąż-Pieniążek: W cesarstwie Menelika. — Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich: Protokół. — Dr. J. Żeńczykowski: Powiat Płocki pod względem łowieckim. Stanisław Leski: Jeleń w Karpatach i wilki. — Adam Rzewuski: „Moje przygody łowieckie“ Juljana Ejsmonda. — Z prasy zagranicznej. — Z Towarzystwa Hodowli Psów myśliwskich. —- Witołd Tyszkiewicz ppułk.: Wolna trybuna. — Sprawy bieżące. — Czasy ochronne. — Z ostatniej chwili.

„ŁOWIEC POLSKI Nr. 48 zawiera: Czesław Odrowąż-Pieniążek: W cesarstwie Menelika. — Władysław Janta-Połczyński: Propaganda łowiectwa a Wystawa Krajowa. — Stanisław Zamoyski: Uwagi o artykule „Myśliwstwo przyszłości“. — Sprawozdanie sędziów z prób polowań w dniach 15 i 16 września 1929 r. — Dr. J. Żeńczykowski: Powiat Płocki pod względem łowieckim. Józef Wł. Kobylański: Plaga myszy polnych a ptactwo. — Literatura zagraniczna o chorobach psów. — Czasy ochronne. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Strzelnictwo. — Wiadomości handlowe.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 49 zawiera: Czesław Odrowąż-Pieniążek: W cesarstwie Menelika. — Sprawozdanie sędziów z prób polowych w dniach 15 i 16 września 1929 r. — Dr. Józef Żeńczykowski: Powiat Płocki pod względem łowieckim. — Propaganda łowiectwa polskiego zagranicą. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Strzelnictwo. — Wiadomości handlowe. — Biuletyn Instytutu Łowiectwa.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 50—51 zawiera: Julian Fałat: Rok 1886. — Edward Niedziałkowski: W noc wigilijną. — Władysław Janta-Połczyński: List do Redakcji. — Stanisław Lilpop: Polowanie na pędzone kuropatwy. — J. Miłobędzki: Dziwny głuszec. — A. Mniszek: W obronie jelenia karpackiego. — H. Knothe: Wzorowa gospodarka łowiecka. — Z prasy zagranicznej. — Ze Stowarzyszeń Łowieckich. — Czasy ochronne. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Bibljografja łowiecka. — Wiadomości handlowe. — Od Redakcji.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 52 zawiera: Juljan Fałat: Rok 1886. — Aleksander Janta-Połczyński: Mój sezon jesienno-zimowy 1929. — Adam Rzewuski: Sylwetki myśliwych dawnego autoramentu. — Z prasy zagranicznej. Ze Stowarzyszeń Myśliwskich. — Czasy ochronne. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące.

TREŚĆ NUMERU 6:

Nr. 6 We Lwowie, 16 marca 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio - środkowa Afryka)

III

Kozioł wodny — kozioł trzcinowy (trzcinnik)

Ciąg dalszy

Na obszernym stepie — jak długo traw nie popalono — czuje się kozioł wodny, jak ryba w wodzie. Spokojny i ufny w swoją nietykalność na tych, mało odwiedzanych terytorjach — nie przeraża się zbytnio widokiem człowieka, gdy go przypadek oko w oko z nim postawił. Obejrzawszy intruza, majestatycznie odchodzi w głąb dżungli trawiastej.

Czyni to samo także na gołej równinie, ale z przyzwoitszej już odległości, tem większej — im więcej go niepokojono, i jeśli zapoznał się ze zgubnem działaniem broni palnej.

W górach jest bardziej czujny i ostrożny. Tam na spotkanie na oko liczyć nie można, tam trzeba go tropić. Podjąwszy wczesnym rankiem świeży trop (tam gdzie nocą żerował) można już w pół godziny — o ile wiatr sprzyja — zejść go w powrotnej drodze, na szlaku, prowadzącym do jego legowisk w wąwozach, lub na miejscach odkrytych, trawą porosłych.

Trop „Niakozwe" we formie wydłużonego serduszka z lekko otwartym szpicem (przy powolnym chodzie) bardzo zresztą podobny do odcisków, innych, tej wielkości antylop żyjących w tej samej okolicy — nie zdradzałby zbytnio, kto jest jego autorem, gdyby nie częsty pomiot, jaki on zostawia po sobie.

Pomiot ten jest nieco podobny do pomiotu bawolego, (ze względu na żywienie się wyłącznie prawie zieloną paszą) i gdy świeży — wydaje ostrą woń, właściwą także samemu zwierzęciu. W dzień parny i po rosie, jest w stanie myśliwy — przy jakiej takiej wprawie w węszeniu — wyczuć tę zwierzynę nie gorzej od psa.

Gdy stado kozłów wodnych odbierze dla siebie jakiś rejon w okolicy, gdzie ma paszę zabezpieczoną na rok cały — nie da się łatwo stamtąd delożować. Nawet odstrzał kilku sztuk nie wypędzi ich z pobliża ich stałych żerowisk; zniknąwszy na jakiś czas z widowni, powracają na te miejsca, jak tylko w ich pobliżu nastał spokój.

Najłatwiej je podchodzić na tych żerowiskach, zwłaszcza w mgliste poranki, gdy ufne w tę osłonę przedłużają tam swój pobyt.

W pobliżu naszej stacji w Szamu, na wąskiej równinie przyrzecznej, otoczonej w półkole pagórkami, żerowały na przestrzeni 6—7 kilometrów — trzy stada tych antylop przez szereg lat.

Jakkolwiek było tam właściwie tylko jedno pastwisko, prawdopodobnie stare koryto ramienia rzecznego — nie

zdarzyło mi się nigdy, abym spotkał dwa stada, żerujące obok siebie. Każde stado pasło się w swoim kącie. Z tych stad ubiliśmy — ja i mój towarzysz Steblecki — siedem do osiem sztuk (kilka uszło postrzelonych), mimo to powracały znowu na swe ulubione pastwiska; każde stado ma swój odcinek. Dopiero gdy czarni z sąsiedniej wyspy przesiedlili się na tę równinę i pobudowali tam swe chaty, co więcej — gdy część pastwisk antylopich zamienili na pola pod ryż — wyniosła się ta zwierzyna w dalsze strony.

Jak uparcie trzyma się „Niakozwe“ raz obranego miejsca — może posłużyć inny przykład.

Jeżdżąc rokrocznie po zakupy do portowego miasta Kilimane, odbywałem tę drogę rzeką, częściowo Zambezą, częściowo Kwa-kwą, uważaną dawniej za jedno z ramion delty zambezyjskiej. Okolice przybrzeżne — to teren inundacyjny, pełny kozłów wodnych, na którym, z powodu mnóstwa moskitów, nikt nie polował.

W czasie drogi, na postojach, o ile czas pozwalał, zaglądałem tam zawsze za zwierzyną.

Na jednym z postojów, gdzie nam zazwyczaj wypadało nocować — a była to okolica bezludna — z reguły widywałem stado „Niakozwe“. Kilka palm Borassus*), jakie widniały w pewnem oddaleniu od brzegu — zwiastowały mi zawsze obecność tych zwierząt — gdzieś w pobliżu. Stwierdziłem zaraz z początku, że w stadzie tem jest stary byk-leader, o stosunkowo krótkich, lecz bardzo grubych rogach — i mało rozchylonych. Na byka tego się zawziąłem, aby rogi jego posiąść. Strzelając doń dwukrotnie — nadwerężyłem mu łopatkę; umknął jednak wraz ze stadem, mimo pościgu moich wioślarzy.

Podczas powrotnej drogi do Szamu, widzę go znowu. Utykał trochę, ale prawdopodobnie wylizał się z rany niezgorzej. W kilka miesięcy później wypadło mi znowu nocować. Jest ów byk.

Idę za nim, ale nie dał się już podejść na strzał. Nawinęła mi się natomiast jedna z łań, jego towarzyszek, do której strzeliłem.

Oczywisty pech! i ta uchodzi ze złamaną nogą. Chociaż nogę wlekła za sobą, nie dała się przychwycić i znikła wśród traw.

Rok później jestem znowu na tym postoju. Było to w czasie największych ulew. Spiekota straszliwa, a trawiska, które dopiero kwitnąć zaczęły, tak bujne i wysokie, że zdawało się wprost niedorzecznem poszukiwać w tej dżungli zwierzyny.

Mimo wszystko — zwyczajem swoim — wdrapuję się na wysoki brzeg. Zaledwie tam stanąłem, byłem już zmoczony dokładnie, bo trawy po niedawnej ulewie nasycone były wilgocią, jak gąbka.

Chcę złazić — gdy oto wiatr przynosi mi znaną woń od stepu. — To „Niakozwe“!...

Coraz wyraźniej rozróżniam wypociny tego zwierzęcia; jest gdzieś niedaleko...

*) Palma wachlarzowata — Borassus flabellifer

Niebaczny na ciężką rosę, która mi się wlewa za koszulę — wpycham się w głąb trawisk. Kierując nos pod wiatr, powoli, noga za nogą, jak pies legawy — postępuję naprzód. Jak daleko uszedłem, nie wiem, ale naraz straciłem wiatr. Chcę trochę zboczyć z obranego kierunku — aż tu naraz, prawie z pod nóg moich wyrywa znajomy byk, a za nim łania za łanią. Kiedy obok mnie się przewalają — chwytam jeden moment, i palę do łani — tym razem z dobrym skutkiem.

Przy rozbieraniu zwierzęcia okazało się, że ubita — strzałem w kark — sztuka miała złamaną przednią nogę, dobrze zrośniętą. W miejscu gdzie skóra pokrywała zgrubiałą kość goleniową — widniała nieobrośnięta włosem szrama, jakby od przecięcia.

Ponieważ była to przednia noga prawa, a mój postrzałek z ubiegłego roku uszedł ze złamaną, również prawą nogą, nie mogłem już wątpić o identyczności sztuki ubitej, z owym dawnym postrzałkiem-łanią. Była zresztą w tem samem stadzie, któremu przewodził byk, również przezemnie naznaczony.

Długi jeszcze czas po tem zdarzeniu nie miałem spokoju, nie mogąc sobie wytłumaczyć, jak złamana u takiego zwierzęcia kość mogła się zrosnąć, i to wcale prawidłowo. Wszak ono w czasie zrastania się nie miało dostatecznego spokoju, było zmuszone do poruszania się, jeśli nie z powodu napaści lwa lub lamparta, które, może w tym czasie w tej stronie nie grasowały, lecz ze strony hien wędrujących z miejsca na miejsce, i polujących właśnie na takie chore egzemplarze, a w końcu — i ludzi.

A chociażby tylko konieczne wędrówki za paszą i poidłem — a trudno przypuszczać, żeby przez cały czas gojenia się rany spędziła w zupełnej abstynencji — to i te spacery na trzech nogach nie odbywały się bez rozlicznych przeszkód zmuszających ranne zwierzę do wykonywania ruchów, które proces zrastania się utrudniały.

A jednak zrost nastąpił w prawidłowy sposób — bez bandaży i bez potrzebnego — jakby się zdawało — spokoju.

Do rodziny kozłów wodnych należy wiele odmian, z pośród których wymieniam najczęściej spotykane.

W okolicach między jeziorem Njassa, a jeziorami Bangweolo i Moero (środkowa Afryka), żyje — mniejsza od typowego kozła wodnego — antylopa Puku, o jasnej gładkiej, orzechowego koloru szacie. Jej nazwa naukowa: Cobus Vardoni. W zachodniej Abisynji i w dolinie górnego Nilu występuje t. zw. Cobus defassa, w Senegalu i Gambji — Sing-Sing, oraz Cobus Lechwe w dorzeczu środkowej i górnej Zambezy.

Wszystkie te odmiany prowadzą podobny żywot — jak ich przedstawiciel — Cobus ellipsiprymnus, t. j. żyją w pobliżu wód, jakkolwiek woda nie jest ich żywiołem, w którymby lubiły przebywać.

W okolicach, gdzie Cobus Lechwe liczniej się pojawia, polują murzyni na nią z nagonką. Wypatrzywszy żerujące nad rzeką stado, okrążają je i spędzają do wody,

gdzie je inni, nadpłynąwszy szybko w małych łodziach, zabijają oszczepami.

Także na Puku nad rzeką Loangwą — jak mi opowiadali moi Kafrzy — urządzają tamtejsi mieszkańcy podobne polowania, tylko przy pomocy psów. Gonione przez nie i nie mogące wydostać się poza ścieśniający się pierścień murzynów, umykają w kierunku rzeki, i — bez względu na krokodyle, których się tak boją, w nurtach jej szukają ocalenia. Tam też dostają się czarnym, ukrytym w trawach, pod oszczep, lub na strzał z łuków. Może te momenty zadecydowały o ochrzczeniu całej tej rodziny — wodnemi, co wydaje mi się tembardziej niewłaściwem, że tam gdzie występuje Cobus Lechwe i Cobus Vardoni — żyje również prawdziwa antylopa wodna (Tragelahus spekci), którą cechuje właściwość brodzenia i nurzania się w wodzie. Należy ona jednak do innej rodziny.

* * *

Trofea myśliwskie mogą mieć wysoką wartość dla amatora-myśliwego, jużto ze względu na niezwykłe lub bardzo rzadkie okazy, jużto ze względu na pewne nieprawidłowości np. poroży, kłów i t. p. a wreszcie dlatego, że wiążą się z niemi wspomnienia osobistych, niecodziennych wydarzeń — ale są i takie, które przez swój estetyczny wygląd — potrafią zachwycić nawet tych co z myśliwstwem nigdy nie mieli do czynienia.

Jeśli dobrze wypchana głowa naszego jelenia, chociażby o średnim, ale regularnym wieńcu — jako ozdoba gabinetu myśliwskiego, jadalni lub westybulu — robi wrażenie, (oczywista dodatnie) — to takie samo wrażenie robi głowa byka-kozła wodnego, wedle prawideł sztuki wypchana. Raz tylko zdarzyło mi się widzieć taką głowę — i ciągle ją mam przed oczyma.

Było to w kolonji wówczas niemieckiej, w portowem mieście Daar-es-salam. Zwiedzając to miasto, a właściwie nowo założoną przez Niemców dzielnicę, z nowoczesnemi, do klimatu zastosowanemi domami, odkryłem przypadkowo na ścianie werandy jednej z will — duży zbiór osobliwości Czarnego lądu. Wśród kolekcyj broni krajowców, ich wyrobów i ozdób, wśród licznych poroży oraz kilku główek mniejszych antylop — widniała na tarczy głowa tęgiego byka — kozła wodnego.

Stanąłem zdumiony — toż to mój znajomy z nad Sziry! — Czyż to możliwe, ażeby ta piękna głowa należała kiedy do najpospolitszego kozła wodnego?!..

W tej chwili zagaduje mię jeden ze współpasażerów na parowcu, włóczący się ze mną po ulicach:

— Panie!.. Cóż to za piękny jeleń! Nieprawda, wspaniała głowa!...

Rzeczywiście była wspaniałą.

Honor kozła wodnego — tym razem — został uratowany...

* * *

(Dok. nast.)

ALBERT MNISZEK

Historja jeleniego wieńca

I.

Przyczyna i celowość regeneracji rogów

Raesfeld przyczynę corocznej zmiany rogów u cerwidów znajduje w fakcie, że w czasach zamierzchłej przeszłości, kiedy na ziemi pierwotne ustosunkowywało się życie, ród cerwidów płci męskiej nie dźwigał poroża, uzbrojony był zato w potężne kły. W przestrzeni następnych tysięcy lat, drogą stopniowej ewolucji kły te malały, jako niedobrze zastosowane do zwyczajów życiowych, aż doszły do dzisiejszego stanu szczątkowego, natomiast potrzeba dała samcom rogi. Staczały one ze sobą walki o samice, uderzając się łbami, przez co na kościach czołowych tworzyły się guzy ciągle odnawiane i ropiące, a z tych z biegiem wieków tworzyć się poczęły narośle kostne, przyszłych wieńców zaczątki. W stwierdzeniu tego procesu, który odbywał się i dokonał na tysiące lat jeszcze przed istnieniem jelenia olbrzymiego (Cervus megaceros), znajdujemy rozwiązanie problemu zrzucania i regeneracji rogów u dzisiejszych cerwidów.

Proces ten rozwijał się i dokonywał w niezmierzonej przestrzeni wieków. Samce obdarzone tylko kłami, a nie mające jeszcze narośli kostnych na czaszce, w walkach o miłość bywały coraz częściej przez swych szczęśliwych rywali pokonywane i nie uzyskiwały dostępu do samic. Narośle czołowe samców pokrywających samice wyrabiały sobie prawa dziedzictwa w następnych pokoleniach. Rozpoczął się rozwój prawidłowego poroża. Początkowo chorobliwe narośle czołowe (Exostezy) weszły w stadjum rozwoju właściwego poroża, które z biegiem czasu dostosowało się w swej formie do życiowych potrzeb zwierzęcych. Ponieważ jednak stworzyła je potrzeba znacznie dopiero później, w czasie bytowania gatunku, nie jest ono związane nierozerwalnie z jego organizmem i posiada charakter chronicznej przemiany, tak jak kwiat, co kwitnie i przekwita, raczej nekrotyczny, t. zn. że gdy dochodzi do pełnego rozwoju, zamiera stopniowo i odpada, robiąc po sobie miejsce na nowe.

Przyroda, uzbrajając cerwidy w poroże, aby najsilniejsze i najzdrowsze ich osobniki mogły wywalczać sobie samice i stać się reproduktorami dorodnego potomstwa, urządziła to w ten sposób, że w porach godowych dochodzi ono do pełnej dojrzałości i wytrzymałości, poczem zalety te traci.

Wieńce jelenie mają najwięcej elastyczności w miesiącach wrześniu i październiku. Byki wchodzą więc w szranki bojowe w najlepszych warunkach. Najzdrowszemi i o najsilniejszych wieńcach są byki urodzone z początkiem lata, a więc w czerwcu, urodzone za wcześnie cierpią w czasie dzieciństwa na głód, przez brak pokarmu u zimą wycieńczonych matek, giną lub stają się mylkusami, urodzone później, zamało mając odporności, padają ofiarą najbliższej zimy. To samo da się powiedzieć o zdrowiu i wytrzymałości łań. Tak odbywała się

w przestrzeni czasu naturalna selekcja gatunku, dzięki której z najsilniejszych i najzdrowszych osobników płci obojga rozrodziło się dzisiejsze pokolenie.

II.

Proces powstawania i rozrostu wieńca

Przedstawia go Dr. Sömmerling w Brehma „Życie Zwierząt" w sposób bardzo dokładny, bo na mocy obserwacji na jeleniu chowanym. Proces ten odbywa się analogicznie i u byków wolno żyjących z nieznacznemi chyba odchyleniami.

„W drugim już dniu po zrzuceniu rogów" — pisze wyż wspomniany autor, „rany możdżeniowe pokrywają się czerwono brunatnym strupem, ściągającym się ku środkowi. Wokoło ran tworzy się nabrzmiałość w kształcie pierścienia, rozrastająca się wszerz i wzwyż. W dniu 4-tym rany są już znacznie mniejsze a nabrzmiałość szersza (w średnicy 12 mm) i wyższa, zasklepia się i pokrywa bruzdami, za lada dotknięciem krwawi. W dniu 8-ym spostrzegamy znów znaczne zmniejszenie się ran i różnicę w szerokości i wysokości pierścienia, który jednak jeszcze owłosionej, otaczającej go skóry nie przewyższa. W dniu 14-ym widzi się jeszcze, ale już bardzo zmniejszone rany możdżeniowe, nabrzmiałość je okalającą znów wzmożoną, najwięcej występuje ona na przodzie ponad skórą uwłosioną tak, że całkiem wyraźnie ukształtowują się podstawy pierwszych najniższych a więc ocznych odnóg przyszłego wieńca. W dniu 20-tym widoczne i już ponad skórę wystające pałki okrywają się białym włosem, występują też coraz wyraźniej zaczątki głównych pni. Blizny, a raczej już tylko wgłębienia nikną z powierzchni szczytów pałek, które teraz rozszerzają się i szybko wzbijają się wgórę. W dniu 23-cim odnogi oczne już mają po 60 mm, a pałki białym lub szarym pokryte włosem rozdzielają się na dwie półkule; z przedniej wytwarzają się odnogi nadoczne, z tylnych główne pnie. W ciągu następnych dziesięciu dni wygląd pałek znacznej ulega zmianie. Całe założenie struktury przyszłego wieńca już się uwidacznia, wszystkie przyszłe odnogi są już zaznaczone przedziałkami i wcięciami. Spostrzega się też po raz pierwszy wystające ponad krawędzie owłosionych możdżeni sine pierścienie, pełne naczyń krwionośnych. To róż i ich pereł zawiązki. Ponad niemi widzi się dokładnie odznaczające się odnogi nadoczne. Szczyty pałek zaczynają nabrzmiewać i rozdwajać się, a w dniu 59-tym wszystkie odnogi są już wyraźne i dość długie, gałęzie nadoczne zaostrzają się w swym końcu. Górna część poroża rozdziela się na odnogi wreszcie w dniu 66-tym, a w dniu 79-tym proces tworzenia się nowego wieńca już jest skończony. W dniu 120-tym, a więc w trzy miesiące po zrzuceniu starego wieńca, nowy jest zupełnie wyrośnięty i stwardniały, choć obleczony scypułem. W dwadzieścia dni później zaczyna byk go wycierać.

Aby poznać i zrozumieć dokładnie proces regeneracji, rogów, jako objaw fizjologiczny, nie możemy poprzestać na tem powyższem, choćby bardzo dokładnem sprawozdaniu z obserwacji Dra S., daje on nam bowiem tylko obraz zewnętrzny, widzialny dla oka obserwatora. Musimy koniecznie zapoznać się z budową wewnętrzną rogu i czynnikami fizycznemi, które regenerację poroża przeprowadzają.

Na obu kościach czołowych u byków wyrastają okrągłe, lub podłużno-okrągłe trzony t. zw. możdżenie, które są w całej swej wysokości okryte owłosioną skórą czołową. Na tych trzonach osadzają się rogi zakończone

---

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

UTRACONE SZCZĘŚCIE

(Ciąg dalszy)

Pan Filipkiewicz, pod wpływem silnego wrażenia, po raz pierwszy chyba w życiu, przyznał się do swej słabości, że nigdyby na tak ryzykowny strzał się nie zdobył.

Po półgodzinnej przerwie w polowaniu, ruszyli nasi myśliwi dalej.

Następny jednak miot wypadł jak najfatalniej dla pana posła. Sarna bowiem, jakby nie przeczuwając, że od tego pana, który broni ustawy, padnie strzał do niej, wyszła na stanowisko pana Filipkiewicza i zaraz po jego strzale zrulowała.

Skonfudował się pan poseł, widząc, że to nie kozioł, ale piastując tak wysoki urząd, liczył na przebaczenie tego postępku wysoce niemyśliwskiego.

Pan Michał jednak, któremu wcale nie zależało na opinji pana Filipkiewicza, podszedł do niego i rzekł:

Na mocy prawa mi przysługującego, proszę szanownego pana posła o złożenie na moje ręce 200 złp., jako kary za zabicie siuty, które to pieniądze złożę do rozporządzenia w starostwie.

W niemej wściekłości wyjął pan Filipkiewicz żądane pieniądze i wręczył Michałowi.

Całej tej scenie przypatrywali się goście i licznie zebrani naganiacze.

W ten sposób zakończyło się polowanie w kniei Różogórskiego.

Przez całą drogę pienił się i wściekał na Michała dziedzic Rzewuszek za skandal urządzony na jego terenie.

Dopiero, gdy przypadkowo znalazł się sam na sam z Michałem, nie wytrzymał i wybuchnął:

Cóż to jest, panie Lubicz, co mają znaczyć te brewerje, które pan urządza moim gościom. Jeśli jeszcze raz coś podobnego się zdarzy, to mówię panu, panie Lubicz, że nie dość, że przestaniesz pan być moim przyjacielem, ale straci pan jeszcze posadę!!

Skłonił w milczeniu Michał głowę, czując się de facto winnym wobec właściciela lasu i kiedy konie wraz z Różogórskim i Filipkiewiczem ruszyły z przed ganku, usiadł przed domem i zadumał się.

u dołu pierścieniem z drobnych okrągławych narośli złożonym, a więc rożą z perłami. Jak długo róg w stadjum rozrostu się znajduje, tak długo kryje się on w pochwie skórzanej obrośniętej białawym włosem, zwanej scypułem. Sam róg składa się z wierzchnej swej części, białej, twardej tkanki włóknistej, t. j. przykostni i wewnętrznej kości właściwej, w której wnętrzu leży szpik. Róg cały przepełniony jest, jak długo żyje, licznemi nerwami, naczyniami krwionośnemi i komórkami tłuszczowemi, które udzielają mu potrzebnej siły do rozrostu, wyrabiają mu też potrzebną skupliwość i sprężystość.

Bezpośrednio po odpadnięciu starego wieńca, rośnie skóra możdżeniowa, jako scypuł, wgórę. Odróżnia się od skóry zwierzęcia tem, że nie jest pokrytą siercią, lecz wełnistym włosem. Równocześnie pod ochroną scypułu rośnie też róg, jako przedłużenie możdżenia, niczem w substancji kostnej od niego się nie różniący i złączony z nim w jedną nieprzerwaną całość, taksamo jak on nerwami i naczyniami krwionośnemi wypełniony. Jak długo róg znajduje się w okresie rozrostu i życia, w przekroju jego podłużnym między nim a możdżeniem nie można się dopatrzeć żadnej linji odgradzającej, ani też żadnej różnicy w substancji lub w wyglądzie.

Po ukończeniu formowania się wieńca róg zaczyna coraz więcej kostnieć, twardnąć i pozbywać się otaczającego go scypułu w sposób mechaniczny, przez wycieranie go o pnie drzew, t. zw. czemhanie. Róg jednak już oczyszczony długo jeszcze żyje, gdyż w przeciwnym razie straciłby swą sprężystość i odporność, a służyć ma mu przecież jako broń obronna i zaczepna w czasie walk o zdobycie samicy. Wieniec zatem zamierać zaczyna w zimowych dopiero miesiącach. Na dowód tego twierdzenia podaję fakt następujący z mych własnych przeżyć myśliwskich. Dnia 23. IX. 1910 r. w Skolszczyźnie w rewirze Rożanka ubiłem silnego byka 12-taka w sposób dość rzadki. Strzelałem do niego przez parów na odległość 200 kroków, gdy schodził wdół na ukos ku mnie. Pocisk 6,7 mm. z Man. Schönauera, zanim pogrążył się w karku zwierza, przebił przedtem na ukos odnogę nadoczną lewego pnia w odległości 6 cm od jej nasady. Z otworu tego przez dwa tygodnie sączyła się krew. Róg więc żyje jeszcze dłuższy czas po okresie rykowiskowym i zamiera stopniowo, aby w danej chwili po odżyciu ponownem możdżenia odpaść od niego na zawsze.

Z chwilą bowiem, gdy proces rozrostu wieńca jest skończony, gdy róg scypułu się pozbędzie, akcja dostawy krwi i soków przez możdżenie do jego wnętrza ustaje, jako już niepotrzebna. Róg zaczyna usychać w swem wnętrzu. Zbliża się termin zrzucenia. Możdżenie odżywają, akcja krążenia krwi się poczyna w nich na nowo, odzyskują czucie i sprężystość, jako ciało żywe i zdrowe. Zarysowuje się dokładnie linja graniczna między możdżeniem a rogiem, jako ciałem coraz więcej obcem i martwem, która stopniowo rozluźnia je wzajemnie, wreszcie rozłącza na zawsze.

Proceder zrzucania rogów przychodzi zwykle dla zwierzęcia niespodzianie, przyspiesza bowiem chwilę tę przypadkowa przyczyna zewnętrzna, trącenie lub zaczepienie rogiem o gałąź lub pień drzewa. Silny byk, zrzuca oba pnie prawie równocześnie, gdyż odpadnięcie pierwszego zmusza go do noszenia głowy przekrzywionej ciężarem pozostałego, więc chce go przez uderzenie o drzewo lub wstrząs łba jaknajprędzej się pozbyć. Jelenie młode, słabe widuje się często z jednym pniem i kilka dni chodzące.

Celu swego dopiął, poseł wyjechał niezadowolony i zły.

Michał poczuł się szczęśliwym. Puszcza sama pomogła mu w jego planie, wysyłając na stanowisko Filipkiewicza sarnę, którą tenże strzałem położył. A kiedy myśl Michała oparła się na wydarzeniu z dzikiem i kiedy przed oczyma stanęła mu Sylwja z wyrazem pełnym trwogi w oczach, kiedy uprzytomnił sobie chwilę, gdy Sylwja tuliła się do niego, jakiś dreszcz przeszedł przez całe jego ciało.

Nie kochał jej jeszcze, ale stawała mu się coraz bliższą.

* * *

IV

Noc. W leśniczówce żaden głos nie mącił śmiertelnie głuchej ciszy. Michał otulony kołdrą, spał na łóżku, wierny Azor leżał wyciągnięty na dywaniku obok łoża swego pana.

Twarz Lubicza jaśniała jakąś dziwną pogodą, wprost nieziemską radością, spał uśmiechnięty do swych snów.

I widział siebie odzianego w drucianą koszulkę, z hełmem na głowie, w ręku trzymający oszczep, i tak stał oparty o potężne drzewo, czekając na zwierza.

Słońce skryte za chmurami nadawało temu krajobrazowi widok ciężki, ponury, pełen grozy.

Wiatr szumiał w konarach drzew, szalał po wierzchołkach sosen i dębów, gnąc wszystko i ścierając, co tylko znalazł na swej drodze pędu.

Z boru odezwał się z początku jeden, potem drugi, trzeci głos psa. To ogary, wpadłszy na trop zwierza, pędziły go na przesmyk, gdzie stał myśliwy.

I wnet rozchyliły się gąszcze dziewiczego lasu i wśród splątanych gałęzi i krzaków ukazał się łeb żubra. Jednym skokiem znalazł się myśliwy przy tym potentacie, silnem uderzeniem wbił oszczep w bok zwierza i odskoczył.

Zwierz ranny, dobywszy resztek uchodzących sił z siebie, rzucił się na stojącego opodal rycerza.

I wówczas człowiek ten, wypełniony jakąś olbrzymią przemożną siłą, chwyciwszy oburącz topór, wyciągnięty z za pasa, zwalił go w czerep rozjuszonego byka.

I uderzył z taką siłą, że chlusnęła krew, rozbryzgał się mózg z rozszczepionego łba.

Ukląknął król puszczy na posłaniu z mchów, mętnem

Coroczne odpadanie i osadzanie coraz to silniejszego poroża wywołuje poważne zmiany w długości i położeniu możdżeni. Rzecz to zupełnie zrozumiała; z rozrostem wieńca zwiększa się też jego rozmiar i ciężar, możdżenie do tych faktów ściśle zastosować się muszą. Z roku na rok są one coraz krótsze, i grubsze, a platformy ich górne pochylają się ku przodowi i na zewnątrz, tak, że stare bardzo byki zdają się swe wieńce już prawie że na czole nosić. Według R. Dombrowskiego wysokość możdżenia u szpiczaka wynosi 5 do 5,5 cm, średnica 1,8 do 2,4 cm; u starego byka wysokość 1,5 do 3,1 cm, średnica 4,9 do 6,5 cm.

(C. d. n.)



Mozajka Dzicza*)

KAZIMIERZ MARMOROSS

Szlakiem „Szczęśliwych dni”

Spotkania z szarżującemi odyńcami

I

Zachęcony przez mego starego przyjaciela, Al. Przedrzymirskiego, który na marginesie „Szczęśliwych dni“ wzywa starych myśliwych do opisywania przeżyć myśliwskich, biorę pióro do ręki, by podzielić się z Towarzyszami w św. Hubercie wrażeniami ze spotkań, jakie miałem z szarżującemi odyńcami, polując na nie z psami dzikarzami, lub z naganką w mojej kniei, w Karowie.

Wypadki wojenne zniszczyły wszystkie moje zapiski łowieckie, dokładnych więc dat opisywanych tu wypadków zapodać nie potrafię. Działo się to przed 25—30 laty.

Zima była tęga. Wracając ze Lwowa koleją razem z ś. p. Franciszkiem Jędrzejowiczem, zachęcałem go, aby wstąpił do mnie i zapolował ze mną na dziki, niestety nie dał się namówić. Miałem dobrych tropicieli w leśnych moich, w osobach Justyna, Jaśka Kordaszewskiego i Marcina, których pamiętają już nieliczni, żyjący Towarzysze moi, jak Jan Urbański, Marjan Łoś, Kazimierz Wysocki, Al. Przedrzymirski, Ed. Oczosalski, a nieodża-

*) Otwieramy na nowo Rozdział ten w Łowcu, obfitujący w latach przedwojennych w bardzo interesujące artykuły, opisujące epizody ze spotkań z czarnym naszych borów rycerzem, w przekonaniu że nigdy nie dający się wyczerpać temat powyższy zainteresuje znów żywo naszych współpracowników i czytelników. Cieszymy się mocno, że otwiera go swojemi wspomnieniami znakomity myśliwy-Nestor naszego łowiectwa.

---

okiem spojrzał na rozległe bory, rzucił im ostatnie westchnienie, niby pożegnanie i skonał.

A kiedy myśliwy stojąc przy ubitym zwierzu, zatrąbił na rogu, dając tem znać towarzyszom o zwycięstwie nad potężnym władcą kniei, słońce wychyliło się z za chmur i olśniewająco oświeciło zwycięskiego myśliwca.

Obudził się Michał.

Przez wpółotwarte okno sypialni wdzierał się szum wiatru, wpełzało, kryjąc się jakieś czerwone światło do pokoju.

A kiedy zdziwiony zjawiskiem tem Michał, podszedł do okna, ujrzał łunę od strony Rzewuszek.

Nie minęło dziesięć minut, gdy już ubrany siedział na koniu i pędził ku pożarowi. Gnał konia, wbił mu ostrogi w boki i tak pędził nie zważając na bijące go w twarz gałęzie, gnał oszalały na myśl, że tam, w Rzewuszkach, palą się pamiątki po jego przodkach i rodzicach, sprzedane wraz z całym pałacem.

Gdy przybył na miejsce pożaru oczom jego przedstawił się straszny widok. Pałac w Rzewuszkach płonął. Z okien, skąd dawniej tryskały promienie światła elektrycznego, dziś buchały kłęby dymu, czerwone płomienie lizały futryny i popękane szkło szyb okiennych.

Stał Michał przez chwilę wpatrzony w to bajeczne a jednak pełne grozy widowisko, lecz wkrótce ogarnięty niepohamowaną żądzą ratowania, zeskoczył z konia, rzucił się w morze płomieni i wnet znikł.

Przebiegł szybko schody przedsionka, a znalazłszy się w olbrzymiej sali antenatów, spojrzał na wizerunki swych przodków. Strach chwycił go żelaznemi kleszczami za gardło, niemoc owładnęła jego ciałem.

Twarze biskupów, rycerzy zbrojnych w żelazo, senatorów z siwemi, długiemi brodami wydawały się upiorami. Pląsające płomienie ognia nadawały im wyraz żywotności. Marsowe ich czoła marszczyły się, innych znowu przybierały jakiś wyraz strasznego cierpienia, jakgdyby żaliły się, że praca ich ginie w niszczycielskich objęciach żywiołu.

Ocknął się Michał z pod tego wrażenia i nie zdając sobie nawet sprawy, że sam mało będzie mógł uratować, zaczął wynosić srebra, obrazy, meble z pod gorejącego nad nim dachu.

(C. d. n.)

łowanej pamięci mój ś. p. najukochańszy przyjaciel, Ed. Münter, z którym od chłopięcych lat sąsiadując, polowałem, On mógłby najwięcej powiedzieć o tych spotkaniach.

Leśniczy mój Ziołecki obiecał mi na godzinę 10-tą rano otropić dziki i czekać mojego przyjazdu w lesie na tak zwanem Perechreściu, które było punktem zbornym tropicieli, gdzie zawsze zdawano mnie raporty z otropienia wilków i dzików.

Punktualnie przyjechałem na Perechreście w oznaczonym czasie, gdzie zamiast zastać leśniczego i leśnych, widzę na śniegu wypisane „proszę przyjechać na Czerwony Bród“. Tam zastałem już wszystkich, raportujących mi, że tak dziki potropiły, że nikt z tego nic wiedzieć nie może, więc zatarli tropy i radzą odłożyć polowanie na drugi dzień.

Chcąc, nie chcąc, zmuszony byłem zgodzić się i odłożyć polowanie na dzień następny. Zwracając się do mojego starego leśnego Macieja Kukiełki, wyraziłem mu moje zdziwienie, że niepotrafił w swoim obchodzie przecież dziki otropić. Na to on uśmiechając się, odpowiada: JWPan gniewają się, nie polujemy a szkoda — jest ten ogromny odyniec, którego dzisiaj ruszyłem z miotu od Poddębiec. Nienamyślając się długo, biorę samego leśnego Kukiełkę na moje sanie, by wrazie otropienia odyńca, zapolować na niego we dwu z pomocą chłopca od koni. Objechaliśmy odyńca w dużym miocie, a domyślając się, gdzie w nim obległ, aby go nie ruszyć, nie przecinałem już go w mniejszym kawałku. Poleciłem leśnemu razem z chłopcem napędzić mi go, udając liczną pogonkę, a sam udałem się jego tropem w środek miotu, skąd był ruszony rano przez leśnego podczas obchodu. Trwał ten manewr z pół godziny — słyszę akuratnie odzywających się moich naganiaczy, pewny będąc, że lada chwila zobaczę odyńca.

Nagle słyszę przeraźliwe głosy mych ludzi, ale zaraz ucichło wszystko. Biegnę więc na ratunek, pewny będąc, że ściął którego z nich i przybywszy, dowiaduję się, że szczęśliwie uniknęli szarży odyńca. Dając za wygranę, wracam zły do sań, by jechać do domu, lecz stwierdzam, że odyniec przeszedł o kilka kroków od sań, podążając do części lasu, w której łatwo zatrzymać się mógł. Ponieważ Kukiełka był tak zmęczony, że dalej śladem odyńca iść nie mógł, daję jego pojedynkę chłopcu na obronę i polecam mu iść tropem za odyńcem, a sam postanawiam drogę mu zajechać, znając dokładnie miejsce, któremu powinien przechodzić.

Jadę więc galopem trzy kilometry i staję na wąskiej drodze wysokopiennego lasu sosnowego, mając za plecami gęsty zrąb 20-letni świerkowy. Po kwadransie emocjonującego oczekiwania, widzę galopującego odyńca daleko, bo około 100 kroków odemnie, zbliżającego się do drogi, na której stałem. Dokładnie więc mierzę i posyłam mu kulę, gdy ukazał się na drodze, waląc go w ogniu.

Ucieszony, biegnę, by go dobić, bo jeszcze się zrywa, i gdy jestem na 10 kroków od niego, nagle, pomagając sobie ryjem, wstaje na równe nogi i zjeżony gotuje się do ataku na mnie. Trwa to sekundę, dzik zwraca i umyka a moje obie kule posłane za nim, trafiają nie jego, ale dwie sosenki. Po chwili nadbiega mój chłopiec tropem odyńca, a leśny także, by oglądać zabitego dzika, bo nie dają wiary, abym kiedy trzy razy wystrzelił a dzik nie leżał. Szukają więc dzika, oglądając zbroczony śnieg obficie posoką, gdzie tarzał się po strzale. Nabiwszy mój trzylufek, postanowiłem odyńca otropić, ale chcąc sprawdzić w jakim kierunku się oddalił, idę za tropem zbroczonym obficie farbą z bronią, szczęściem gotową do strzału. Nie dalej jak 40 kroków od miejsca, gdzie przed chwilą leżał, nagle z pod świerka wypada na mnie odyniec z rozwartym pyskiem, a trafiony kulą w ryj przysiada na zadzie. Drugim strzałem na 5 kroków w łeb zdzieram mu zaledwie tylko szczeć z czuba. Nie namyślając się, odskoczyłem od niego co prędzej, aby móc nabić broń. Dzik poszedł dalej. Ochłonąwszy po tem spotkaniu, nie dając za wygranę, otropiłem go w kulturze świerkowej nie więcej jak w trzech morgach. Nie mając moich piesków pod ręką a zadaleko, bo dwie mile było do domu posyłać po nie, niechcąc narażać ani siebie ani leśnego na ponowny atak odyńca w gąszczu świerkowym, gdzie obrócić się nie można, postanowiłem wyczekać jaką godzinę, aż osłabnie, a potem iść za nim w trop lub kazać go napędzić na siebie. Siedzę więc na pniaku na mniej zalesionym zrębie pod kulturą i rozmyślam co robić a stoją przy mnie leśny i chłopiec.

Trwa to już dość długo i leśny mój prosi mnie, abym pozwolił pójść mu za tropem i podnieść odyńca, bo pewnie jest już martwy. Nie godzę się na propozycję leśnego, a gdy głośno dość rozmawiamy, patrzę w kierunku ostępu, gdzie odyniec zaległ i widzę śnieg zlatujący z jednego świerka w gąszczu. Zwracam na ten szczegół uwagę leśnego i dodaję, że to odyniec ten śnieg strąca, lecz leśny jest odmiennego zdania, twierdząc, że śnieg odtajał i zlatuje. W tem słyszymy głośne fuknięcie kilkakrotne i wyraźne kłapanie kłami i spostrzegamy, że odyniec idzie wprost na nas, strącając po drodze śnieg ze świerków. Chwytam więc za broń, odwodzę kurki, gotując się do strzału. Czekam, nie uważając co robią moi ludzie bezbronni. Za chwilę widzę odyńca wychylającego się z gąszczu i czekam ze strzałem, aż się lepiej pokaże. W tem odyniec zoczywszy mnie, z rozwartą paszczą i fukiem rzuca się na mnie. Strzelam na stych nie dalej, jak na trzy kroki — odskakuję i za mijającym mnie odyńcem, daję drugi strzał, rozciągając go w ogniu.

Patrzę co się dzieje z moimi towarzyszami i widzę chłopca na drzewie siedzącego, ale leśnego nie widzę — oglądam się, wołam go — raptem widzę go leżącego pod odyńcem. Dostał się w ten sposób pod niego, że uciekając podczas szarży tegoż za mojemi plecami, upadł w śnieg, a odyniec trafiony ostatnim strzałem, gdy mnie mijał, zwalił się na niego. Nieborak leśny przeleżał dwa miesiące, tak był potłuczony i przestraszony.

Mogę mówić o szczęściu w tem spotkaniu, bo odyniec ciął mię na wysokość trzeciego guzika od kamizelki

przecinając dokumentnie lisiurkę od prawego boku ku lewemu, dalej tak samo kamizelkę, kaftanik i koszulę, zarysowując ledwie mi skórę. — O cal naprzód gdybym był się spóźnił z odskokiem, byłby mnie rozpruł.

Odyniec ten był niezwykle wysoki, krótki, podkasany z bardzo wysuniętemi kłami i o wadze 200 kg. Był on pierwszą kulą strzelony, raczej zaczepiony z lewej strony popod klatkę piersiową, która to kula złamała mu prawą nogę przednią wysoko, dlatego zwalił się w strzale i nie mógł się prędko na nogi postawić. Przy pierwszym ataku dostał kulę ekspresową w ryj, która go posadziła na zadzie, druga kula była chybioną. Przy ostatnim ataku na sztych ledwie zasztrychowany miał policzek, przy ostatnim strzale śmiertelna, dopiero ugodziła go okrągła kula za ucho.

II.

Miałem psy na dziki, krzyżowane dogi z naszemi kundysami łańcuchowemi, w których rasa dogów przewyższała, bo miały maść krasą biało czarną, nakrapianą lub rudą, także czarno-biało znaczoną, często z rybiemi oczami. Miałem ich kilkanaście, wszystkie od dwóch suk po dowodnych tropowcach tej rasy. Bardzo były cięte, co było ich, powiem, wadą, bo przy każdem spotkaniu z odyńcem lub silniejszym wycinkiem życiem własnem płaciły swoją zażartość. Były trzy tropowce: Łoskot, Łaszko i suka Muszka, które tylko dzika atakowały, niegoniąc sarny, ani zająca. Wywoziłem je zawsze na sankach szeroko rozstawionych w ten sposób umieszczonych, aby leżały spokojnie przytroczone na jednym rzemieniu do kółek żelaznych, by nie mogły spadać ze sań, gdy te szły w zatoki, a odrazu można było je wypuścić, skoro tylko tropowiec zaczął dziki oszczekiwać.

Niecierpliwie oczekiwałem jakiej takiej ponowy i doczekać się jej nie mogłem, zwłaszcza, że miałem w kniei sporego odyńca, z którym chciałem się spotkać. Zaledwie więc pobielało, biorę na sanie tropowce Łoskota i Muszkę i trzy młode psy, które pierwszy raz wystąpić miały przy rodzicach. Na Perechreściu zastałem leśnych z obchodu, raportujących, że tropić nie można, bo śniegu prawie niema. Leśny mój, Marcin, raportuje, że ten duży odyniec a raczej trop jego widnieje na brodzie i poszedł w miot Sachanychą nazwany, a czy tam zaległ, ręczyć nie może. Będąc spragniony spotkania, postanawiam spróbować szczęścia. W tym celu polecam Marcinowi pojechać tam, gdzie trop odyńca widział i za 25 minut puścić samego Łoskota tropowca, a gdy ten się odezwie, puścić Muszkę, zaś młodych psów nie puszczać. Ja zaś z przeciwnej strony poszedłem pieszo, by być w środku miotu i gdy psy zaatakują, prędzej zbliżyć się do psów i dzika.

Idąc z podwójnym ekspresem na ramieniu, w miocie wypłoszyłem odyńca, który leżał w mrowisku a ten skierował się wprost pod trop własny, skąd przyszedł ku brodowi, gdzie stały sanie z psami i leśnym. W chwili, gdy leśny spuszczał tropowca z rzemienia, odyniec wypadł na sanie, psy go zoczyły i wszystkie razem wyrwały się z rąk leśnego i osaczyły odyńca. Dzik ściął w jednej chwili wszystkie 3 psy młode na śmierć, a z tropowcem i suką Muszką poszedł w przyległy miot. W jednej chwili byłem przy saniach, gdzie stał mój Marcin oniemiały nad rozdartemi psami, tak, że ich wnętrzności wisiały na gałęziach. Dopadłem sań i sam z furmanem pogoniłem za atakującemi dzika psami w sąsiednim miocie.

Gdy się bliżej znalazłem, zacząłem ostrożnie podchodzić i wspaniały wreszcie przedstawił mi się widok. Widzę odyńca zapienionego z pianą krwawą na ryju, posuwającego się jak na sprężynach, a dzielne moje tropowce tak go atakują i skubią, że w miejscu ugania za niemi. Ta zabawa trwa jakiś czas, a ja wypatruję stosownej chwili, by wywrzeć pomstę za moje biedne rozdarte pieski. W tem odyniec widocznie mnie zoczył i błyskawicznie zaszarżował. Strzeliłem do niego dwa razy pod samemi memi nogami, po tych strzałach uczułem uderzenie w piersi i przewróciłem się na wznak a broń moja poleciała sobie w inną stronę.

Zerwałem się w jednej chwili i zobaczyłem odyńca martwego u moich stóp a na nim psy moje wżarte w niego. Szczęśliwie strzeliłem, bo dostał jedną kulę w oko a drugą pod gardło. W innym wypadku jabym był leżał a on stałby nademną. Dzięki złożyłem św. Hubertowi za ocalenie moje i za tak piękne spotkanie. To uderzenie w piersi moje było spowodowane tem, że odyniec rażony dwoma kulami, tak radykalnie zatrzymany został, że machnął koziołka a mnie zadem swoim zwalił na ziemię.

III.

Niedługo cieszyłem się mojemi dowodnemi pieskami, którym tyle szczęśliwych dni zawdzięczałem. Jedne poginęły od szabel dziczych a w końcu z winy chłopa psiarczyka, który niemi się opiekował, gdy raz wygryzły się z zamknięcia, pogoniły w las i potruły się na baranie, który leżał zatruty na wilki. Został tylko jeden młody pies, którego przy pomocy pokurcza jamnika, jako tako wprawionego na dziki, chciałem koniecznie zaprawić, by był wart swoich przodków dzikarzy.

Był otropiony spory odyniec, którego kazałem sobie napędzić, a obydwa psy miałem w odwodzie na sankach, by, jeżeli dzika postrzelę, puścić je w pogoń za nim i przy tej sposobności sprawdzić, co młody mój pies pokaże.

Odyniec wyszedł daleko na linję, a otrzymawszy spóźnioną kulę wysoko w szynkę pod krzyże, powlókł się w następny miot. Poszły psy za nim i zaraz w bliskości dopadły postrzałka i zawzięcie zaczęły go oszczekiwać. Podążyłem za niemi razem z towarzyszącym mi moim leśniczym Ziółeckim. W gęstej cienkiej sośnince, która rozsiadła się pod grubym drzewostanem sosnowym, zastałem mojego odyńca siedzącego i trzymanego przez psa młodego wżartego w niego z boku, a jamnik atakował go z przodu naprzeciw ryja, oszczekując.

Widząc to, rozradowany tą sceną a chcąc dać się pieskom zaprawić, niedobijałem dzika zaraz, i zacząłem zachęcać psy do energiczniejszych wystąpień.

Mając jednak doświadczenie, że zawsze trzeba być gotowym do strzału, trzymałem mój ekspres w pogotowiu z palcem na cynglu, bo nie można nigdy odyńcowi dowierzać i wiedzieć, czy nie zbierze resztę sił i nie zaatakuje. Delektując się tym pięknym obrazem, zachęcałem dalej moje pieski do atakowania odyńca.

W jednej chwili, kiedy najmniej się tego spodziewałem, skręcił się on raptownie w moją stronę i ciął psa a raczej podrzucił go ryjem do góry i rzucił się na mnie. Stało się to tak niespodzianie, że nie miałem czasu złożyć się do strzału. Stała się rzecz nie do uwierzenia za sprawą i łaską św. Huberta. Odyniec uderzył głową swoją o wylot luf mojego sztućca, a że miałem palec na prawym cynglu, broń wypaliła bez mojej wiedzy i woli i uśmierciła dzika. Dokładnie i wiernie opisałem powyższe spotkanie, boję się jednak, by mnie nie posądzono o łacinę myśliwską, do której, proszę mi wierzyć, nie miałem i nie mam ani odrobiny zamiłowania.

IV.

Opiszę jeszcze jedno spotkanie z odyńcem, zwłaszcza, że serce mi się krwawi wspomnieniami o moim serdecznym przyjacielu i Towarzyszu ś. p. Ed. Münterze, którego gościłem tego dnia w domu. Niestety już wtenczas niedomagał i nie był świadkiem tego zabawnego spotkania, lecz mam żyjących świadków tej sceny mojego znanego Mikołaja, starego sługę emeryta, leśnego i furmana Jana.

Zaraz po ustaniu działań wielkiej wojny, przyjechał ś. p. Ed. Münter, by zapolować razem ze mną na dziki w Karowie, bo te jedne nie dały się wymordować przygodnym wojennym myśliwym, którzy wyniszczyli prawie do nogi resztę zwierzostanu.

Ponowa była dobra, dziki miano otropić dokładnie i tak się stało. Lecz ś. p. E. Münter zbudził się z rana nietęgi i oświadczył, że polować dzisiaj nie może. Uwiadomiłem mojego leśnego, że polować będziemy dopiero nazajutrz, by zarządził co potrzeba. Do południa jednak ś. p. E. Münter czuł się znacznie lepiej, a nawet żałował, że nie polujemy, a było rzeczywiście czego żałować, bo raportowano w kilku miotach otropione dziki. Po obiedzie poszedł ś. p. E. Münter na drzemkę a ja pojechałem do lasu z moim Mikołajem prostemi sańmi, by dowiedzieć się, w których miotach były otropione dziki i zarządzić ostatecznie co potrzeba do jutrzejszego polowania. Jako uzbrojenie od wypadku miałem ze sobą mój Bok z lufą kulową 6,5 mm model rumuński. Wyjeżdżając z lasu już przy zmroku, widzę na śniegu spory trop odyńca prowadzący prosto w otwarte pole. Sądząc, że mogę odyńca spotkać żerującego na kartoflisku, polecam Mikołajowi i furmanowi, aby na wypadek gdybyśmy dzika na polu żerującego zobaczyli, jechali stępa w kierunku, który wskażę, i tak długo, póki im nie każę stanąć.

Rzeczywiście dobre miałem przeczucie, bo na jakie dwa kilometry od lasu w czystem polu zobaczyłem żerującego bardzo dużego dzika na kartoflisku. Nakazując furmanowi i Mikołajowi kierunek jazdy, polecam jechać stępa, by się możliwie do dzika zbliżyć.

Mam wprawdzie jedną kulę radykalną 6,5 mm, ale drugą lufę opatrzoną tylko w śrót gruby. Co będzie, to będzie, postanawiam spróbować zaaplikować dzikowi radykalną pigułkę. Gdy się na jakie 300 kroków do dzika zbliżyłem, popatrzył on na nas — fuknął i galopkiem zaczął się oddalać, lonżując nas na jakie 200 kroków nie w kierunku lasu, ale w otwarte pole.

Widząc, że bliżej niego nie znajdę, zeskakuję ze sań i posyłam mu kulę. Po strzale odyniec odrobinę zaznaczył zadem, lecz galopuje dalej w obranym kierunku.

Zrobiło mi się gorąco, ładuję na prędce wystrzeloną lufę kulową — wołam na sanie, na które wskakuję i każę galopem pędzić za odyńcem. Na jakie 100 kroków mijam go, zajeżdżając mu drogę, staję z saniami i gotuję się do strzału.

Odyniec na ten gest mój zareagował, bo stanął także, ale fuknął i wprost skierował się na sanie. Mimowoli krzyknąłem na furmana: uciekaj, bo bałem się o konie, a sam zeskoczyłem i w czystem polu zostałem. Nie było czasu do namysłu, zgorączkowałem, bo na sztych na jakie 30 kroków palnąłem do odyńca przypadkowo celnie, trafiłem bowiem w piersi, tak, że zrulował w ogniu; jak się pokazało, pierwsza kula na 200 kroków ledwie zaczepiła kręgosłup koło ogona, a przecież go jednak żenowała.

Opowiadanie to moje może na bajkę wygląda, a jednak jest całkiem prawdziwe. Już było ciemno, jak zajechałem przed ganek z odyńcem przykrytym kocem. Na ganku oczekiwał mnie ś. p. E. Münter i pierwsze Jego słowa skierowane do mnie były z wyrzutem, że tak długo bawiłem, a gdy koc odsłonięto i odyńca zobaczył, to poczułem w Jego oczach wymówkę, że bez niego polowałem. Dopiero gdy mu opowiedziałem o przebiegu całego spotkania, odobruchał się i żałował, że nie mógł razem ze mną brać udziału w tym rzadkim epizodzie myśliwskim.



Korespondencje

Kamionka Strumiłowa, w styczniu 1930

Dążenia Województwa naszego do podniesienia kultury łowieckiej w granicach Województwa, wpłynęły tak dodatnio na tutejszych myśliwych, że postanowili założyć Towarzystwo myśliwskie, i zamiar swój w dniu 27 stycznia b. r. w czyn przeobrazili.

Ponieważ z powodu podeszłego wieku do Towarzystwa nie przystąpiłem, przeto tą drogą zasyłam Mu życzenia jak najpomyślniejszego rozwoju, a przedewszystkiem wytrwałości, w którą, przy obecnie obowiązującej ustawie, w wielkie zasoby uzbroić się musi, a tak samo i w znaczne fundusze, bez których ani kroku naprzód postąpić nie można.

Założycielami tego Towarzystwa są, jak zawsze i wszędzie w prowincjonalnych miasteczkach, nasi urzędnicy rządowi i samorządowi, którzy chętnie na każdym niemal kroku, chcieliby swojej Ojczyźnie przysłużyć się. Nie zawsze jednak dobre chęci wystarczą, a osobliwie w tym wypadku, gdy się ma taki bicz nad sobą, jakim jest obowiązująca ustawa łowiecka, która tak mocno rozdrobniła okręgi łowieckie, i dała możność wydzierżawiania tych okręgów dowolnej osobie, bez względu na to, czy osoba ta na dzierżawcę polowania kwalifikuje się, czy też nie.

Obszar łowiecki 100 ha — a takich w powiecie jest dosyć. Są gminy, w których nawet po 4 okręgi łowieckie (spółkowe) istnieje, a każdy jest w ręku innego dzierżawcy — jakżesz więc tu myśleć można o jakiejkolwiek kulturze łowieckiej, a tem więcej, jeśli się ma sąsiada, który z okręgu swojego chciałby mieć jak największe korzyści. Im większy obszar łowiecki, tem racjonalniejszą może być gospodarka łowiecka i dlatego też Władze powinne dążyć do tego, by tworzyć jak największe spółkowe okręgi łowieckie, a nadto, dać możność wydzierżawienia na nich polowania osobie takiej, która daje należytą rękojmię dobrej gospodarki. Naturalnie, że ani obszar, ani też osoba dzierżawcy, nie dopnie właściwego celu, gdy Władze nie zajmą się na serjo kłusownictwem, a osobliwie sidełkarzami, których obecnie tak namnożyło się, że stali się wprost plagą dla łowiectwa.

Myślę, że i w tym kierunku możnaby wiele zrobić, gdyby Władze dopomogły. W każdej niemal gminie, naczelnicy gmin, a na jej przysiółkach asesorowie, polowi i gajowi gminni, wiedzą całkiem dokładnie, kto trudni się kłusownictwem, kto i gdzie sidełka nastawia, czy to na zające, sarny, lub też na kuropatwy, jednak za żadną cenę osobników tych nie wydadzą, w obawie zemsty z ich strony. Niech nazwisk ich nie wydają, jednak niech sami naczelnicy gmin lub asesorowie gminni, napomną ich w cztery oczy, by tego procederu zaniechali — w razie powtórnym — zagrozili im doniesieniem do Władz, a wiem napewne, z praktyki własnej, że takiem postępywaniem, można wielu kłusowników od tej niecnej roboty odstraszyć, bo każdy kłusownik wie o tem dobrze, że gdy go nawet straż łowiecka na gorącym uczynku złapie, kłamstwem może się zawsze z tego wykręcić, gdy go jednak naczelnik gminy, wobec Władzy jako kłusownika przedstawi, ratunku dla niego nie będzie. Nie może też mieć i żalu do naczelnika gminy, skoro go tenże przestrzegał. Straż łowiecka płatna przez właścicieli lub dzierżawców polowania, nieda sobie nigdy rady z kłusownikami, gdy im nie przyjdą z pomocą powyżsi funkcjonarjusze gminni.

Powiedziałem powyżej „z praktyki własnej" i o tem słów kilka napiszę.

Dzierżawiłem polowanie spółkowe w gminie D. w obszarze 3.000 morgów. W gminie tej było 8 przysiółków, a na każdym przysiółku 2 lub 3 kłusowników przeważnie sidełkarzy. Objąwszy to polowanie, w pierwszym roku, ani zająca ani kuropatwy nie widziałem. Dowiedziawszy się, że główną plagą są tu kłusownicy, prosiłem naczelnika gminy, by wpłynął na nich sam i przez asesorów na przysiółkach, by procederu tego zaniechali. Naczelnik gminy tej, chcąc mi się przysłużyć, tak gracko wywiązał się ze swojej obietnicy, że wszyscy kłusownicy swojego fachu zaniechali, i to tak, że w dwa lata później, nietylko po polach i laskach wiele kuropatw i zajęcy widziałem, ale nawet po chłopskich ogrodach i sadach w bliskości budynków, kuropatwy i zające spotykałem. Tak samo było w innych gminach, w których polowanie spółkowe dzierżawiłem.

Główny nacisk położyło Towarzystwo w statutach swoich na sprowadzanie zwierzyny.

Zwierzyny w naszym powiecie jest zawsze tyle, że sprowadzać jej nie potrzeba, i o ileby kłusownictwo poskromiono, mielibyśmy wkrótce jej tyle, że moglibyśmy sami zagranicę wysyłać. Zresztą, o ileby zaszła faktyczna potrzeba sprowadzenia jej, to zanim zasiejemy, musimy grunt pod uprawę należycie obrobić, bo ziarno rzucone w źle obrobioną glebę, plonu nieda. Tak samo i w tym wypadku. Nim sprowadzi się zwierzynę, musi się obszar łowiecki od wszelkich kłusowników (sidełkarzy) uwolnić, bo cóż znaczy samo wypuszczenie zwierzyny na jakiś obszar łowiecki, skoro na nią tysiące sidełek już czeka, i tego samego dnia lub następnego, w sidełka wpadnie i wpaść musi.

Do tego złego przyczynia się także i ustawa budowlana, która każdemu (tak dawniej jak i obecnie przy parcelacjach) pozwala pobudować się, gdzie mu tylko się podoba. Toteż chaty rozrzucone po polach i lasach, stają się ostoją wszelkich złych duchów, nic też więc dziwnego, że kłusownictwo i inne zbrodnie wzrastają i kwitną w najlepsze.

Jeszcze słów kilka. W ostatnich latach, w czasie polowań, spostrzegłem, że między myśliwymi jest wielu takich (wojskowo w czasie wojen służących), którym jeszcze ciągle się zdaje, że w rękach trzymają karabiny kilometrami bijące i każdego widzianego zajączka uważają za bolszewika, którego bezwarunkowo zgładzić, lub unieszkodliwić się musi. To też strzelają do nich ze swoich śrótówek na takie odległości, że śróciny nieraz

nawet do połowy odległości nie dolatują, a jeżeli dolecą, to biednego szaraczka tak unieszkodliwią, że po dłuższych lub krótszych cierpieniach, staje się pastwą psów, bezkarnie po polach włóczących się. Mówię — bezkarnie — bo psy takie, nawet na okazaną im przynętę, do ręki przyjść nie chcą aby je zatrzymać, lub sprowadzić można było — do jakiej rasy należą, i czy można je uważać za „psy niemyśliwskie“, które ustawa zezwala w krótkiej drodze karać. Aby więc nie wpaść w sprzeczność z § 36 i 37 ust. łow. lub z ustawą cywilną o odszkodowanie, lepiej puścić je bezkarnie niż wejść w konflikt z Władzami.

Hipolit Neumann
del. M. T. Ł. i P. Z. T. Ł.

Janów, w lutym 1930

Straszna zeszłoroczna zima wyrządziła w naszym zwierzostanie znaczne szkody. Kuropatwy, prócz kilku sztuk w zimie przechowanych, wyginęły zupełnie. Sarn zmarzniętych lub zjedzonych przez lisy znaleziono około ośmdziesiąt, najlepiej przetrwały tę straszną zimę zające, a stan lisów, które miały dość padliny, nawet się podniósł.

Kaczek dzikich było w lecie mało, dopiero w październiku trochę się naściągało, kszyków zato było bardzo dużo.

Polowań na zające i lisy było cztery.

Dnia 24 grudnia w „Humniskach“ w kilka strzelb ubito 8 zajęcy.

Dnia 28 grudnia w „Stradczu“ w 12 strzelb ubito 30 zajęcy i 2 lisy.

Dnia 2 stycznia 1930 r. w „Krzemiennej“ w 11 strzelb ubito 22 zające i 1 lisa.

Dnia 13 stycznia w „Horyszny“ w 9 strzelb ubito 10 zajęcy i 4 lisy.

Razem padło: rogaczy 1, lisów 7, zajęcy 70, kaczek dzikich 80, kszyków 85, słonek 12, ptaków drapieżnych 121, psów 59, kotów 22, kun 7.

Jan Gułochowski

Ostobuż, 18 lutego 1930

Nawiązując do korespondencji p. Dr. Henryka Malsburga z daty Gródek Jegielloński 30 stycznia 1930, (Łowiec Nr. 4), donoszę, że w mojej praktyce myśliwskiej, spotykałem kilkakrotnie stadka kuropatw o jaśniejszem ubarwieniu pierza, ale co ważniejsze — kuropatwy te były od zwykłych kuropatw mniejsze, tak, że jeżeli normalną wielkość kuropatwy oznaczymy liczbą 10, to te kuropatwy należałoby oznaczyć liczbą 8. Te kuropatwy były znacznie ostrożniejsze, w początkach września porywały się w ziemniakach na 50—60 kroków, a na ścierniach nie dały się dojść do strzału.

Kuropatwy te spotykałem zawsze w bliskości lasku lub krzaków, a zerwawszy się kryły się w krzakach i zaraz się rozbijały.

W roku 1928 miałem w Ostobużu takie stadko z 12 sztuk, ale w r. 1929 już takich kuropatw nie widziałem. Czy są obecnie, tego nie wiem.

Kazimierz Wysocki
delegat

Pilawa (pow. Buczacz), dnia 20 lutego 1930

Jakkolwiek tegoroczne polowania zimowe, których termin przypadł na początek stycznia, należą już do przeszłości, to jednak fakt ten nie może powstrzymać mnie przed zamieszczeniem sprawozdania ze wspaniałego jak na ten rok wyniku polowania w Zadubrowcach u Pana Zdzisława Czaykowskiego.

Na opolowaną czwartą część całego terenu w dwóch dniach, w siedmiu kotłach, jednym drukerze i jednej czterdziestomorgowej remizie, (która sama dała 140 zajęcy) zabito ogółem 350 zajęcy! Ten, jak na tegoroczny, przeważnie słaby stan zajęcy, niemal rekordowy wynik, stwierdza raz jeszcze, że Zadubrowce pośród wielu doskonałych terenów Pokucia nadal palmę pierwszeństwa dzierżą, co jest następstwem nietylko odpowiednich warunków klimatycznych Pokucia, ale i wytężonych starań samego Gospodarza, dostosowanych z całem znawstwem i zamiłowaniem do ogólnych potrzeb hodowli łowieckiej.

Jan Gołębski

Gnojnik (pow. Brzesko), w lutym 1930

Sezon polowań zajęczych w bieżącym roku na terenie tutejszego powiatu zakończył się nieco wcześniej, gdyż już z dniem 15 stycznia. Jednakże i ten okres czasu był aż nadto wystarczającym, by w obwodach łowieckich, gdzie polowano w sposób niszczycielski, często przy pomocy psów gończych, (wbrew postanowieniom art. 45 praw. łow.) zwierzynę przetrzebić do tego stopnia, iż o ile tak dalej potrwa, to stan jej wogóle nie tylko nigdy się nie poprawi, lecz przeciwnie, rokrocznie, jak dotychczas, będzie się pogarszał.

Odnosi się to do przeważnej części obwodów łowieckich wspólnych wydzierżawionych osobom nie mającym pojęcia o racjonalnem obchodzeniu się ze zwierzyną, ani też o etyce łowieckiej.

Natomiast na terenach własnych, w tej części powiatu, gdzie spełniam funkcje delegata, nie polowano prawie zupełnie. To też stan zajęcy i kuropatw mimo niepamiętnych mrozów ubiegłej zimy, nie jest tam tak dalece opłakanym, jakeśmy się tego początkowo lękali, a przy łagodnym przebiegu zimy obecnej, można żywić nadzieję, iż stan tej zwierzyny znacznie się poprawi, byleby tylko wiosna z nastaniem nie chciała zbytnio się ociągać, zwłaszcza, że parkotnia w naszej okolicy rozpoczęła się już w połowie stycznia. Kaczki dzikie, które w latach ubiegłych tysiącami nawiedzały moczary i stawy, w roku przeszłym były nader nieliczne, wprost po kilka lub kilkanaście sztuk, tam gdzie poprzednio można je było spotykać w nieprzeliczonych stadach. Prawdopodobnie kaczki ze wszelkiej zwierzyny łownej od mrozów

ucierpiały najdotkliwiej. Ubytek ten również zauważyłem, spędzając ubiegłej jesieni dni kilka na Wołyniu. Tam, w tem kaczem Eldorado spotykałem zaledwie niewielki odsetek tego co poprzednio.

Z wydarzeń dotyczących spraw łowieckich naszej okolicy wydaje mi się być godnym zanotowania fakt, odbytego w dniu 19 grudnia ub. r. Zebrania delegatów pow. oraz osób którym sprawa racjonalnego łowiectwa jest drogą. Zebranie to, na którem powzięto szereg wniosków, zwołane zostało przez p. radcę Hałacińskiego, starostę powiatu, który sprawy łowieckie traktuje nader życzliwie. Pismo jakie zebranie złożyło na ręce Starosty w Brzesku podaję poniżej:

* * *

Świetne Starostwo Powiatowe

w Brzesku

Delegaci powiatowi Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego na zebraniu odbytem dnia 19 grudnia 1929 r. w Starostwie w Brzesku, pragnąc przeciwdziałać katastrofalnemu zanikowi zwierzyny łownej w powiecie, uchwalili szereg wniosków, z któremi zwracają się do Świetnego Starostwa z prośbą o zatwierdzenie tychże, względnie o wyjednanie zatwierdzenia u Wysokiego Województwa.

Wniosek pierwszy omawia s t a ł e rozszerzenie czasu ochronnego dla sarn-rogaczy, zajęcy, kuropatw, oraz dzikich kaczek, w granicach następujących:

Sarny-rogacze czas ochronny od dnia 1 XI do dnia 15 VI.

Zające czas ochronny od dnia 15 I do dnia 31 X.

Kuropatwy czas ochronny od dnia 1 XI do dnia 15 IX.

Dzikie kaczki czas ochronny od dnia 1 III do dnia 20 VII.

Wniosek powyższy uzasadniamy tem, iż sarny-rogacze po wycieńczeniu zimowem i zmianie włosa nie są przed drugą połową czerwca w pełnem mięsie, a przytem nie mają jeszcze parostków zupełnie wytartych, nie przedstawiają przeto należytej wartości łowieckiej i z powyższych względów nie powinny być przed dniem 15-go czerwca zabijane.

Zające w naszej okolicy, w drugiej połowie stycznia odbywają już parkotnie, co dzieje się zwłaszcza gdy zima ma przebieg łagodny, z drugiej zaś strony w październiku jest jeszcze wiele zajęcy niewyrośniętych, a co gorsza często spotyka się w tym czasie zajączki całkiem małe względnie kilkudniowe, którym o ile się zastrzeli karmiącą matkę, skazuje się je wprost na śmierć głodową. Podobne też powody skłoniły nas prosić również o rozszerzenie czasu ochronnego dla kuropatw, gdy te nawet w drugiej połowie sierpnia są najczęściej tak małe, że dopiero zaczynają fruwać i oczywiście pod żadnym warunkiem nie powinno się w tym czasie na nie polować, tembardziej, że odstrzelenie np. starki z takiego stadka skazuje całe stado na zagładę, gdyż małe kuropatewki pozbawione swej przewodniczki stają się łatwą zdobyczą wron, srok, włóczących się kotów i t. p. przeróżnych szkodników.

Podobnie też rzecz przedstawia się z dzikiemi kaczkami, dla których rozszerzenie czasu ochrony przynajmniej do dnia 20 lipca, wydaje się nam być rzeczą konieczną.

Następnie zebranie delegatów mając na uwadze zatrważająco nikły stan zwierzyny łownej na przeważnej części terenów powiatu brzeskiego, spowodowany już to na wskutek niebywałych mrozów minionej zimy, jużto przez epidemję motylicy, która w latach ubiegłych zające i sarny zdziesiątkowała, kuropatwy zaś przetrzebiła epidemja cholery drobiu, nadewszystko zaś zła i nieracjonalna gospodarka łowiecka doprowadziła do tego, że chcąc ratować zagrożony zwierzostan od zupełnej zagłady nie widzimy innego skutecznego środka, jak tylko prosić o zamknięcie wykonywania prawa polowania na całym obszarze powiatu na sarny-rogacze, zające kuropatwy i dzikie kaczki na okres lat dwóch.

Następnie zebranie delegatów zwraca się do Świetnego Starostwa z prośbą o wyjednanie u Wysokiego Województwa wydania zarządzenia w tym kierunku, aby każda sztuka ubitej zwierzyny przeznaczonej do handlu zaopatrzona była plombą na której cyfrowo po jednej stronie oznaczone byłoby Województwo i powiat, po drugiej również cyfrą gmina, zaś literą (w ułamku) okręg, samoistny, czy też wspólny, zależnie z którego dana sztuka zwierzyny pochodzi. Powyższe zarządzenie miałoby na celu ułatwienie kontroli nad handlem ubitą zwierzyną, przez co nader skutecznie możnaby zwalczać rozwielmożnioną plagę kłusownictwa, oraz nielegalny handel dziczyzną.

* * *

Tak, to są jednak, że tak nazwę, tylko półśrodki. Naprawdę zaradzić złemu może jedynie nowelizacja Prawa Łowieckiego w tym kierunku, by pozostawiwszy dodatnie jego zarządzenia, usunąć, względnie uzupełnić braki od których ono niestety wolnem nie jest, czego od kompetentnych czynników myśliwi, których dobro zwierzyny leży na sercu, tak niecierpliwie oczekują.

Tadeusz Łysakowski
delegat



Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej

Ciąg dalszy

Znamiennem jest, że nawet wrony, mimo strzelonych towarzyszek, nie opuszczają pola walki, ale tem natarczywiej i hałaśliwiej biją na puhacza, jako domniemanego zabójcę. — Po pewnym czasie wrony unikają nawiedzanej często i w jednem miejscu pozostającej budki. — W niektóre dni puhacz wywiera na ptactwo większą, w inne zaś mniejszą atrakcję. — Nie można go zbytnio przemęczać, zwłaszcza w porze gorącej. Otwieranie dzioba i obojętność na okrążające go ptactwo, są oznaką znużenia, nakazującą zamknięcie polowania.

W domu przechowuje się puhacza w przestronnej klatce względnie paczce, zaopatrzonej siatką drucianą od przodu, wysokiemi drzwiczkami po bokach, wysuwalnem dnem i bantami korowatemi do siedzenia różnej grubości lub grubszą gałęzią z odnogami. Ustawia się ją w miejscu widnem, przyczem jednak promienie słońca nie mogą padać wprost na osiatkowany przód klatki. — Puhacza żywi się mięsem, wątrobą, wnętrznościami i t. p., nadto dla regulowania żołądka w krótszych odstępach czasu podaje się mu w całości (z owłosieniem wzgl. upierzeniem) świeżo zabite myszy, krety, łasice, chomiki, młode króliki, wróble, wrony, sroki i tp., z których niestrawione części wydławia ze siebie z powrotem, — wreszcie codziennie otrzymuje świeżą wodę do picia a także świeży gruboziarnisty piasek na dnie klatki. Klatkę kilka razy do roku należy dezynfekować przez wszechstronne zlanie jej wrzącą wodą.

Młodo złowionego puhacza (ze starym rzecz trudniejsza) oswaja się przez osobiste żywienie i pielęgnowanie go. Takiego ukrotnego (uswojonego) puhacza wynieść można na polowanie na ramieniu, uwiązanego na łańcuszku. Natomiast z nieoswojonym wyrosłym puhaczem postępować należy naogół ostrożnie i przenosi się go na polowanie zamkniętego w małej zakrytej klatce. Przy wyjmowaniu z klatek zarzuca się nań przez głowę okrywkę i ujmuje się go w grubych rękawiczkach skórzanych za golenie powyżej gryfów (szponów) albo też przepędza się go przez otwarte drzwiczki z jednej klatki do drugiej. Chwyt szponami za gołą rękę grozi przebiciem jej na wylot, również uderzenia dziobem są niebezpieczne. Tyle co do polowania i obchodzenia się z puhaczem.

Ochrona drobnej zwierzyny użytkowej przez celowe redukowanie drapieżników i szkodników łączy się najściślej ze stałym i czujnym dozorem polowania przez dobrą straż łowiecką a temsamem z energicznem także zwalczaniem kłusownictwa i wnykarstwa, tych największych może plag dzisiejszego łowiectwa.

Te postulaty w połączeniu z dokarmianiem zwierzyny i w braku naturalnego z sztucznem dla niej schronieniem (budki, drobne remizy w polach — zaś wyściółka w lasach dla sarn) w cięższej zimie i umiarowym zawsze odstrzałem zwierzyny użytkowej w sezonie polowań (przy możliwem także oszczędzaniu zajęczyc), stanowią w prawidłowej gospodarce łowieckiej główny jej rozdział. Przez sporadyczne jeszcze odświeżenie krwi zwierzyny i wskazane czasowo dobrowolne przerwy w normalnych okresach polowania, uzyskamy w ogólności tak mniejwięcej pełny już obraz rzetelnej gospodarki. Każdy więc interesowany adept z pod zielonego sztandaru przy pewnej tylko dozie dobrej woli, ofiarności i wytrwałości, czyto samodzielnie czy wspólnemi siłami, przyczynić się może i powinien do tego, ażeby niewesołe dziś przeciętnie, miejscami nawet bardzo smutne oblicza polowań gminnych spółek łowieckich niedługo i stopniowo rozjaśniać i rozweselać się poczęły ku własnej jego oraz ogólnej radości i pożytkowi dzierżawców, użytkowców i gości tych polowań. (Dok. nast.)

Stanisław Morawetz
sekretarz

Sprawy bieżące

Odczyt Prof. W. Goetla

W dniach 20 i 21 lutego b. r. w sali Kasyna literacko-artystycznego wygłosił prof. Akad. Górniczej w Krakowie, Dr. Walery Goetel odczyt ilustrujący dzieje swej 9. miesięcznej podróży wzdłuż całej Afryki od Przylądka Dobrej Nadziei do Aleksandrji.

Prof. Goetel wziął udział w XII. Międzynarodowym kongresie Geologicznym, który odbył się w czerwcu z. r. w Pretorji, w południowej Afryce, jako członek delegacji Polskiej. Po skończonym kongresie wziął udział w podróży naukowej przez Transvaal, Rodezję nad jeziora wschodnio-afrykańskie i do najwyższych gór wulkanicznych Afryki Kenia i Kilimandżaro, następnie od źródeł Nilu przez Sudan, Nubję do Chartumu, skąd statkiem, żeglując wdół Nilu, powrócił do Aleksandrji. Podróż prof. Goetla jest pierwszą podróżą uczonego polskiego wzdłuż całej Afryki od kraju Przylądkowego do Egiptu.

Odczyt ilustrowało około 250 przeźroczy egzotycznych krajobrazów Afryki roślinności tropikalnej, świata zwierzęcego, osiedli, typów i życia tubylczej ludności. Prof. Goetel przedstawił przeźrocza drapieżników fotografowanych przez siebie z bliska i oświadczył, że odmiennie od innych podróżników, całą wyprawę przebył bez broni w ręku i nie dał ani jednego strzału do zwierząt.

Niektóre gatunki zwierząt afrykańskich, wobec ich stałego tępienia, są skazane na zagładę o ile nie znajdą się środki ochronne. Ginie słoń, który pada masami z ręki człowieka (30.000 rocznie słoni ginie tylko w Kongo belgijskiem). W ostatnich latach dopiero rząd angielski i belgijski urządzają olbrzymie rezerwaty „parki narodowe“ (największy park Kenia), w których zwierzyna i cała przyroda znajdują się pod ochroną prawa.

A. S.

Ptactwo przelotne a radjo

Prasa codziena podała niedawno wiadomość, że w ...rdzo wielu już miejscach zostały zastąpione stare la...rnie morskie przez urządzenia, które przy pomocy ni...widzialnych fal eteru, niosą kapitanom statków emisje ra-djowe w postaci akustycznych sygnałów.

Wysłuchanie tych sygnałów następuje przy pom...ocy instalacji radjowych na statkach umieszczonych, a ...kierowanie kursu statku na wysłuchaną w przestw...rzu strażnicę nie przedstawia żadnych trudności. Taka sygnalizacja ma tę wyższość nad latarniami świetln...mi, iż pozwala ona na dokładną orjentację nawet wśród ...ajwiększych mgieł.

Podobno w ostatnich czterech latach zbudowano 150 latarń nowego typu zastępując niemi latarnie świetl...e.

Wiadomość ta nasuwa nam bardzo pocieszające refleksje. Niezliczone bowiem ilości ptactwa przelotnego ginęły dotąd w swych wędrówkach rozbijając się o świetlne latarnie morskie, na które ptaki wpadały oszołomione czy też zmylone ich ogromnym blaskiem. Przeciw tej zgładzie ptactwa nie pomagały podobno żadne ś...odki ochronne, szczerze lub nieszczerze stosowane.

Obecnie, o ile latarnie świetlne zostaną rzeczywiś...ie powszechnie wyrugowane przez sygnalizację radjo...ą, problem ochrony ptactwa przelotnego przed grożącem mu od latarń morskich niebezpieczeństwem zostanie ...am przez się załatwiony, a byłby to nie częsty zapewne ...wypadek, iż jakiś postęp techniczny przyczynił się nie do zagłady przyrody, lecz właśnie do jej ochrony.

A. .



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 21 lutego 1930 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydzi...u: Wł. Garapich, Dr. A. Małaczyński, Dr. Fr. Piechow...i, St. Pieńczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz, zastępcy: M. Chrzanowski, St. Madeyski i zaproszony prof. R. Wac...k.

Nieobecność usprawiedliwili: inż. A. Ebenberger, St. Jaśkiewicz, gen. F. Meraviglia, Henryk Prek i Dr. W. Ziembicki.

Ze sprawozdania wiceprezesa A. Mniszka powzi...to, że ilość zgłoszeń trofeów z Małopolski na Wystaw...łowiecką w Lipsku jest bardzo nikłą, mimo propag...ny w tym kierunku przeprowadzonej. Postanowiono ...m bezzwłocznie uwiadomić Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i przyjęto rezygnację wiceprezesa A. Mniszka z funkcji Komisarza Wydziału dla tej sprawy.

Zatwierdzono zarządzenia Prezydjum wydane w sprawie zaprowadzenia nowej księgowości.

W poczet członków przyjęto Antoniego Łastowieckiego w Hadlach, p. Jawornik Polski w powiecie rzeszowskim.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli: W. P. Janina Madeyska zł. 20,—.

Prośba do P. P. Myśliwych

Pracując od kilku lat nad anatomją ptaków, zająłem się porównawczo anatomją i biologją narośli skórnych u różnych ptaków, a między innemi zająłem się anatomją i fizjologją czerwonego policzka u bażanta, o czem ogłosiłem pracę w wydawnictwach Polskiej Akademji Umiejętności. Pozostaje mi do opracowania pod względem anatomicznym i biologicznym budowa czerwonej brwi u cietrzewia i nader interesująca sprawa chwilowej głuchoty głuszca podczas jego pieśni. W tym celu niezbędnie potrzeba mi kilku głuszców i cietrzewi. Zwracam się niniejszem z gorącą prośbą do tych PP. Myśliwych, którzy nie reflektują na wypchanie swoich trofeów o przesłanie pospiesznym frachtem kilku sztuk głuszców i cietrzewi, pod następującym adresem: **Dr. Kazimierz Wodzicki,** Docent Uniw. Jag. **Kraków 6, św. Anny,** Zakład Anatomji Porównawczej U. J.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połon...ckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16